



Ewa Barańska

Urodziła się w 1947 r., zm. 26 czerwca 2017 r. Powieściopisarka, scenarzystka, autorka poczytnych i nagradzanych powieści dla młodzieży, powieści obyczajowych, sensacyjno-kryminalnych i fantastycznych. Była członkiem ZLP. Wydała 15 powieści.

RAJ OBIECANY

(fragment powieści)

Choć byłam zła na Michała, nie mogłam nie zauważyć jego kłopotów z poruszaniem lewą ręką, toteż zaproponowałam, że poprowadzę samochód. Zgodził się bez problemu, a nawet z wyraźną ulgą usiadł na fotelu obok kierowcy. Marysia usiadła z tyłu i ruszyliśmy.

Ledwie z podporządkowanej uliczki wyjechaliśmy na główną, jak spod ziemi wyrósł gliniarz z lizakiem i nakazał mi zjazd na pobocze. Grzecznie wykonałam polecenie. Policjant podszedł, szarmancko zaszalutował do daszka, przedstawił się, zażądał okazania prawa jazdy i dowodu rejestracyjnego, po czym na wypadek gdybym nie domyśliła się, poinformował, że to kontrola drogowa i spytał, dlaczego kieruję pojazdem mechanicznym bez świateł. O kurde mol, też mi pytanie! Po pierwsze, miałam za sobą bezsensną i pełną stresujących wrażeń noc, po drugie, nie dość, że świeża, to jeszcze świeciły wszystkie uliczne latarnie, więc było jasno jak w dzień, ale miałam na tyle rozumu, by wątpić, czy te argumenty wystarczą. Pozostała jeszcze nadzieja, że policjant rozpozna w Michale dawnego kolegę z branży. Niestety, z wyrazu jego twarzy nie wynikało, aby Michała w ogóle kojarzył. Na szczęście wciąż czuwał we mnie instynkt kłamczuchy, a on podpowiadał, by zareagować jak najgłupsza na świecie blondynka:

– Tak? – otworzyłam szeroko oczy. – Dziękuję panu za zwrócenie uwagi i przepraszam za fatygę.

Posłałam mu promienny uśmiech, włączyłam światła i wyciągnęłam rękę po swoje dokumenty. Niestety. Nie zrobiło to na gliniarzu oczekiwanego wrażenia.

– To przekroczenie przepisów ruchu drogowego będzie kosztować panią dwieście złotych i cztery punkty karne – wyjął bloczek z wyraźnym zamiarem wypisania mandatu.

– O nie, proszę pana! – oburzyłam się. – Za jazdę nocą bez świateł należy się dziesięć punktów karnych, pozbawienia prawa jazdy i zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych do końca życia.

Reakcja policjanta warta była największych pieniędzy. Wlepił we mnie wzrok jakby zobaczył kosmitkę, znieruchomiał, a gdy już nieco ochłonął, spytał:

– Jak rozumiem, chce pani, żebym odebrał jej prawo jazdy i ukarał dożywotnim zakazem kierowania pojazdami mechanicznymi?

– Nie tylko chcę, żądam!

– Ależ dlaczego?

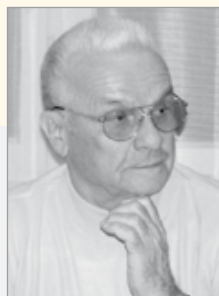
I wtedy zagrałam *va banque*:

– Widzi pan tego faceta? – wskazałam na Michała. – To mój mąż.

Wciąż się upija i zmusza mnie, żebym wtedy, bez względu na porę dnia czy nocy, robiła za kierowcę. Mam tego dość! Proszę...

Michałowi też dopisał refleks;

– Widzi pan, jaka z niej jędza? A ja mam ją na co dzień – pożałił się.



Mieczysław Działowski

Poeta, harcerz, patriota, lotnik – pilot szybowcowy i samolotowy. Należał do Grupy Literackiej „Słowo”, a potem Mieleckiego Towarzystwa Literackiego. Całe życie był związany z Mielcem. 21 czerwca 2017 r. zmarł w wieku 87 lat.

Mogiła

w oparach wilgotnych mgieł
wśród połamanych konarów drzew
i prochem pachnących traw
przystanął strudzony wędrowiec
jeszcze nie starzec
nad zaniedbaną leśną mogiłą
czas, której odmierzał
zapadnięty brzozy krzyż
oparł zmęczoną twarz
na przytwierdzonej do niego
widać w pośpiechu złamanej desce
wyteżył znużony wzrok by ujrzeć
na jej zatartych nierównościach
skromną o zmarłym informację
bo choć w swej powrotnej drodze
z długiej wojennej tułaczki
w różnych miejscach mogiły miają
ta, wydawała się... jakby niczyja
o czym świadczyły litery ŻNN
niezgrabną ręką wyrte
oznajmujące, że tu jest pochowany
z dala od swych najbliższych
Żołnierz Nieznany

Myśliwiec

spozą chmur wyskoczył w przewrocie na skrzydło
błyszcząc majestatycznie jak w ciemności widmo
pewnie leci w dół, w ciasną przechodzi pętlę
związają się jak zmija, cumulusy mija
silnik wyje na pełnych obrotach

po chwili lotu ustala szybkość
płynąc spokojnie po błękitnym niebie
rzuca swój cień stalowy na ziemię

naگła zmiana kierunku lotu na skrzydło się zwała
pochył niebezpieczny też sobie pozwala.

nieoczekiwane kolejne podejście do pętli
zwinnie przechodzi na plecy
przerzut w półbeczkę lecąc z niej ku górze
znika w błękitnej chmurze

silnik cichnie z chmur wychodzi skrzydło
kadłub oraz usterzenie
wytrąca wysokość na ziemię się wali
w geometrycznej spirali.

wyprowadzając rozpoznał znane mu lotnisko
w dole widniały lądowania znaki
na horyzoncie rzeka wzgórz łąki
a na nich czerwone maki.

radosnym spojrzeniem ogarnia piękno
w słońcu skąpanej przyrody
i dotykając kołami betonki
kończy lotne przygody!

Jacek Świerk



Urodził się w 1981 r. Mieszka w Rzeszowie i Bliznem. Zadebiutował tomem wierszy *Relacje na nieżywo* (Miniatura, Kraków 2017). Wiersze publikował m.in. we „Frazie” (debiut), „Wyspie”, „Pograniczach”, „Odrze” (pocztówki internetowe KM), „Portalu Latarnia Morska”, „Krytyce Literackiej”.

Tabernakulum człowiecze

Wyróżniony przez luksusowy zakład pogrzebowy, przez Ojczyznę salwą honorową, orderami, przez werble i przez jemu właściwą Eklezję.

Dzieci uczą się wierszyków mu dedykowanych, dat arcyważnych, adresów, a na ćwiczeniach cech charakteru.

Matka odsłania tablice, różne takie, i przecina wstęgi. Co rok wręcza nagrodę jego imienia. Co rok bije brawo na inscenizacji jego śmierci. Panie w mięsny mają dla niej zawsze świeże podgardle, serdelki. W dowód zaślub syna ma darmowe leki i przejazdy, rabat u fryzjerki.

Odbiera prośby o modlitwę, protekcję, pieniądze, o DNA z grzebienia, ze szczoteczki, o rąbek komeżki, o kosmyk kłęski, o guzik, ząb mleczny, paznokcie, o cokolwiek, co miało z nim styk.

Mater Dolorosa jest na psychotropach. Co rusz robi sobie z nią fotkę któryś z oficjeli. Co noc widzi zmasakrowanego synka dla idei.

Podszepty głośników

Ego w rozmiarze XXXXXXXL z doczesnego włókna, w bezstresowym stylu, w dziale dla samolubów, z kieszonką na zawrotną karierę w kolorze, co wyróżnia, z guziczkami w kształcie pieniążków,

z ładnymi dodatkami: z wisiorkiem w kształcie luksusowego autka, z podkreślającym zgrabne paluszki serduszkami z tombaku i z gustowną krótkowzrocznością do przypięcia w widocznym miejscu.

Za zakupy czterokrotnie przekraczające średnią krajową mikołajkowy prezent:

weekend w ośrodku odnowy egoistycznej

z kąpielami w sosie własnym, sesją zdjęciową przed lusterkami do firmowej gazetki, z kufierkiem z osobistymi urazami dla łakomczuchów, wycieczką dookoła siebie w towarzystwie siebie oraz z kolacją ze światowej sławy sobkiem.

Grzegorz Boroń



Uczeń technikum w zawodzie technik informatyk Zespołu Szkół Zawodowych w Dynowie. Nagradzany i wyróżniany w ogólnopolskich konkursach literackich dla dzieci i młodzieży, m.in. pierwsze miejsce w V Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Dom, rodzina, miłość – utrata tych wartości to bezdomność”.

BEZDOMNY CHRYSZTUS. OJCIEC?

(fragment opowiadania)

I

Powoli, wraz z każdą butelką skazywałeś się na śmierć. Nie mogłem na to patrzeć. Nienawidziłem Ciebie pijanego, przychodzącego co wieczór do domu. Wracającego chwiejnym krokiem, by zaraz potem zrobić kolejną awanturę. Rozbijałeś butelki, krzyczałeś na cały blok: „Zostawcie mnie! Nie jestem pijany! Puszczaj mnie!”. Zamykałeś się w łazience, puszczałeś wodę i siedziałeś myśląc. Nienawidziłem chwili, gdy musiałem oglądać matkę, która raz za razem próbuje się do Ciebie dostać. Głośno wali w drzwi i prosi, żebyś otworzył. Żebyś się ogarnął... Żebyś, na Boga, w końcu przestał pić...

Nie rozumiałeś jej. Nie chciałeś zrozumieć. Po wyjściu z toalety rzucałeś się na łóżko, tak jak wróciłeś – spocony, śmierdzący wodą, bez przebierania. Rano zawsze siedziałeś w zamknięciu, by wieczorem znowu wyjść i wrócić w podobnym stanie. Nienawidziłem tego... Sam skazywałeś się na śmierć...

II

Bywały dni, kiedy wracaliśmy w niedzielę z kościoła, Ty siadałeś przed telewizorem i puszczałeś głośno muzykę. Bawiliśmy się w pokoju, tańcząc, śmiejąc się i pomagając mamie gotować obiad. Byliśmy cudowną rodziną. Ty w świetnym humorze, mówiłeś, że to już koniec. Że nigdy więcej nie tkniesz tego świństwa. Wierzyliśmy. To Twój krzyż, Twoja własna męka, którą mogłeś w każdej chwili zakończyć, ale wcale nie chciałeś...

Po takich niedzielach dalej szedłeś do baru, by w nocy głośno dobijać się do domu. To był jeden z takich dni. Mama siedziała z głową w oknie, myśląc, kiedy w końcu wrócisz. Jezu... Jaki wstyd! Codziennie mijać sąsiadów, którzy widzieli twojego pijanego ojca, jak niesie swój krzyż pijaństwa, śpiewając zbierzne piosenki. Tak było tym razem.

Mama niepokoiła się. Tego dnia było wyjątkowo zimno. Nigdy, ale to nigdy nie zdawałeś sobie sprawy z tego, jak Cię kochała. A przecież nie musiała tego robić... Mogła przestać, porzucić alkoholika i zacząć nowe życie. Ze mną, z jakimś nowym tatą. Nie mogła tego zrobić. Czekala na Ciebie, biegła, by Ci pomóc, byś mógł wrócić do domu, miejsca Twojej kaźni.

III

Zobaczyła Cię, gdy wychylałeś się zza drzew. Szybko zbiegła po schodach, wołając sąsiadów, aby Ci pomogli. Co jak co, ale potężny z Ciebie facet. Ciężko Cię podnieść trzeźwego, a co dopiero, gdy byłeś pijany... Tym razem było wyjątkowo źle. Nie potrafię powiedzieć, jak trafiłeś do domu. Może ktoś Cię podwiózł? Może tak jak Chrystus wjechałeś, ku uciesze witającego tłumu, na osłe? Już dawno skazałeś się na śmierć. Tłum nie chciał Ciebie uwolnić. My chcieliśmy.

Wychodzisz zza drzew, kierujesz się w naszą stronę, by po chwili potężnie upaść na asfalt wyłożony dookoła blokowiska. To Twój pierwszy upadek. Jeden z trzech. Przez chwilę nieruchomo leżysz na ziemi. Podnosisz się chwiejnie i idziesz dalej. Wolniej, lekko kulejąc na jedną nogę.